

# TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N<sup>o</sup> 189.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 9 maja 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

## TREŚĆ NUMERU.

Ludwik Bierkowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Płowce (z dwoma drzeworytami). — Jarema (dalszy ciąg). — Przegląd polityki zagranicznej. — Korrespondencye od redakcyi. — Dumanie nad różą (wiersz). — Kościół w Starém Mieście pod Koninem (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus.

znawanie jęj anatomiczne, badanie zaś przedewszystki-  
kiem fizyczne. Przy tak radykalnie zmienionym kie-  
runku nauki lekarskiej, wszystkie gałęzie lekarskiej  
wiedzy połączone w jednolitą całość, z której oddziel-  
ne jęj części (okulistyka, chirurgia) rozrosły się w po-  
tężne konary. Lekarze zbiegli się pod zwykły swój  
sztandar nauki, pracy i doświadczenia, rokując pie-

europskiej rodziny, w tym nowym zwrocie nauki  
lekarskiej niewielki przyjął udział. Szkoły nasze po  
większej części ograniczały się na starannem śledze-  
niu i przyswajaniu sobie postępów zagranicznej me-  
dycyny.

Ludzi zdrowej myśli i potężnego rozumu, zdolnych  
dyktować prawa

## Ludwik Bierkowski.

Nieliczne grono chirurgów pol-  
skich nader bolesną niedawno po-  
niosło stratę. W.d. 26 czerwca 1860  
roku na cmentarzu Rakowickim w  
Krakowie złożono czcigodne szcząt-  
ki profesora Bierkowskiego, który  
w ciągu lat 30 przyświecał jagiel-  
lońskiej wszechnicy i literackimi  
pracami swojemi zasłużył na za-  
szczytne imię dziekana dzisiejszych  
chirurgów Polski.

Zaledwo 80 lat ubiegło od wie-  
kopomnej chwili, kiedy dnia 4 pa-  
ździernika 1780 roku Kraków uro-  
czyście wprowadzał w życie reformę  
swęj szkoły przez Kollataja do-  
konaną i chirurgii po raz pierwszy  
otwierał u siebie podwoje, a już u-  
niwersytet krakowski na stronicach  
swoich dziejów kilkunastu zapisał  
zmarłych nauczycieli chirurgii, albo  
w charakterze zwyczajnych profes-  
sorów, albo też czasowo i zastępczo  
wykładających tę naukę.

Ośmdziesiąt lat w dziejach rozwo-  
ju ducha ludzkiego, stanowią epokę,  
w której nieraz oblicze nauk i u-  
miejętności rdzennie się zmienia i  
przeistacza. Historia medycyny, jako  
nauki, będąc częścią dziejów ogóln-  
nej oświaty, najwymowniej tej  
prawdzie daje świadectwo. Na po-  
czątku XIX wieku szkoła naturalnej  
filozofii w medycynie zstąpiła do  
grobu, a z nią minął czas teoretycz-  
nych sporów i wyłączne systemata  
runęły; nauka lekarska stała się  
częścią historii naturalnej; prawa  
fizyki, chemii i fizjologii roślinnej  
znalazły swe zastosowanie w ustro-  
ju człowieka; fizjologia ludzka pod-  
niesiona na stopień nauki, patologia  
podechodząc pod prawa fizjologii, za-  
częły ją posilkiwać i uzupełniać. Z opracowaniem pa-  
tologicznej anatomii przy pomocy mikroskopu i che-  
mii, choroba ostatecznie stała się materyalną, rozpo-



LUDWIK BIERKOWSKI. (Rysował z fotografii Polkowski.)

legnowanej przez się wiedzy świetne postępy, przy  
nowych warunkach jęj rozwoju.

Polska, chociaż oddawna już wcielona do lekarskiej

europskiej rodziny, w tym nowym zwrocie nauki  
lekarskiej niewielki przyjął udział. Szkoły nasze po  
większej części ograniczały się na starannem śledze-  
niu i przyswajaniu sobie postępów zagranicznej me-  
dycyny.

Ludzi zdrowej myśli i potężnego rozumu, zdolnych  
dyktować prawa

myśli i potężnego rozumu, zdolnych  
nawet samemu niebu (Kopernik),  
nie brakło nigdy Polsce. W epoce,  
o której mowa, dosyć wspomnié o  
Jędrzeju Śniadeckim, którego nowe  
poglądy naukowe powszechne obu-  
dziły zajęcie w Europie. Ale zasłu-  
gi jego w obec nauki poznamy na  
inném miejscu; obecnie zamierzamy  
tylko, i to pokrótce, wskazać koleje,  
jakim uległa w ostatnich czasach  
chirurgia w szkole krakowskiej.

Poczet profesorów chirurgii w  
Krakowie rozpoczął Czerwiakowski.  
Przez niego stworzona i tak staran-  
nie pielęgowana na naszej ziemi  
chirurgia, obiecywała w krótkim  
czasie najpiękniejsze plony. W stycz-  
niu 1796 roku Austriacy zajęli  
zachodnią Galicyę i Kraków, a 8  
już sierpnia tegoż roku zreorgani-  
zowali uniwersytet, wprowadzając  
doń język łaciński jako wykładowy,  
od 1805 r. zaś obok łacińskiego i  
niemiecki. Koniecznym tego następ-  
stwem było przysłanie nowych pro-  
fesorów Niemeów, częścią z Wie-  
dnia, częścią z zamkniętego uniwer-  
sytetu we Lwowie. (1) W r. 1797  
wydział lekarski otrzymał nowego  
zwierzchnika, w osobie naczelnego  
lekarza Galicyi Loranza. W składzie  
swoim fakultet został powiększonym:  
przedtem było 5 profesorów i 1  
prósektor, za otworzeniem zaś in-  
nych katedr, liczba profesorów pod-  
niosła się do 11 i dodano jeszcze  
3ch assystentów. Uczniowie, poświę-  
cający się medycynie, najprzód przez  
trzy lata słuchali nauk filozoficznych,  
potem przez trzy lata nauk lekar-  
skich. W pierwszym roku wykładano  
chirurgią teoretyczną, w drugim na-

(1) R. 1784 16 listopada założono uni-  
wersytet we Lwowie pod nazwaniem *Uni-  
versitas Josephina*. W 1805 r. część jego  
przyłączono do akademii krakowskiej, z  
drugiej zaś części utworzono liceum,  
które d. 4 listopada 1817 r. przekształco-  
no na uniwersytet, pod imieniem *Universitas Franciscæ*. O-  
becnje istnieje *Medicin. chir. Lehr-Anstalt*; język wykłado-  
wy niemiecki.

no na uniwersytet, pod imieniem *Universitas Franciscæ*. O-  
becnje istnieje *Medicin. chir. Lehr-Anstalt*; język wykłado-  
wy niemiecki.

ukę o opaskach, narzędziach i działaniach chirurgicznych, w trzecim zaś odwiedzali uczniowie klinikę, ale tylko trzy razy tygodniowo. W r. 1803 przystąpił do Krakowa na profesora chirurgii Jan Nepomucen Filip Rust, doktor chirurgii, profesor z Olomuńca, wykładał chirurgią w języku łacińskim. Godny to następca Czerwiakowskiego; po opuszczeniu Krakowa w 1809 r. stał się ozdobą berlińskiej szkoły. W 1808 r., w czasie kilkumiesięcznej nieobecności Rusta w Krakowie, obowiązki jego pełnił asystent Żerdziński, późniejszy profesor akademii lwowskiej. W r. 1807 traktatem tyłczykim ustanowiono księstwo warszawskie, a 1809 r. miasto Kraków z księstwem warszawskim połączono. W uniwersytecie jagiellońskim znowu język polski, obok łacińskiego, przywrócony; profesorowie Niemcy opuścili Kraków. W Warszawie powstała izba edukacji publicznej, z rozporządzenia której akademią krakowską rządzi rada szkolna, w 1810 r. zamieniona na dozór szkoły głównej.

Taki stan rzeczy przetrwał do 1815 r. W ciągu tych sześciu lat akademii krakowska nie miała prawie stałego profesora chirurgii, a częste zmiany wykładowych (Dołasiński, Corde, Jaworski, Rudnicki, Girtler, Woźniakowski, Stummer) nie mogły korzystnie wpłynąć na postęp nauki.

Gdy w myśl kongresu wiedeńskiego Kraków ogłoszony został miastem wolnym, z woli kommissji organizacyjnej dla urządzenia części naukowej utworzono pod przewodnictwem Łancuckiego tak zwany komitet akademicki, w którym część lekarską objął Kostecki. W nowo urządzonym uniwersytecie krakowskim katedrę chirurgii otrzymał Sykstus Lewkowicz, (mianowany był na tę posadę jeszcze w r. 1814, lecz objąć jej wtedy nie mógł, z powodu bytności swój przy armii w Hiszpanii), i pozostał na niej aż do śmierci w r. 1830 nastąpił. (1)

Ale nie tutaj koniec ciągłych zmian w urządzeniu uniwersytetu krakowskiego. W r. 1833 nastąpiła nowa reorganizacja wszechniczy jagiellońskiej; wydział lekarski otrzymał 9 profesorów, w liczbie których jeden profesor teoretycznej i praktycznej chirurgii, tudzież chirurgiczno-klinicznej nauki przy chorych, i 6 adjunktów; kurs dla medyków przeznaczony pięcioletni; fundusz wydziału lekarskiego wynosił 419,249 złp.

W r. 1847 wolne miasto Kraków przeszło pod rząd austriacki; od r. 1852 wykładowy język na uniwersytecie zaprowadzono niemiecki; w r. 1864 w części przywrócono znowu polski, a w r. 1862 zaprowadzono instytucją docentów, jako rekojmię współzawodnictwa naukowego, a zatem i rzeczywistego postępu. Pierwszy to krok prawie w przebiegu lat długich na korzyść zakładu wywalczony.

Kilkakrotna reorganizacja uniwersytetu, najczęściej na niekorzyść zakładu, język naukowy prawie co kilka lat inny, a z nim razem i zmieniani profesorowie, odjęły szkole głównej krakowskiej wszelką samodzielność, i nauki, tak pięknie wzrastające po reformie Kollątaja, znowu do upadku chylić się zaczęły. Szczególniej to się da zastosować do chirurgii, bo w krakowskiej szkole, w ciągu lat kilkudziesięciu, ani jedno nie wyszło z druku chirurgiczne dzieło; kilka inauguracyjnych rozpraw małego znaczenia, kilka monografij i oddzielnych artykułów w czasopismach rozrzuconych, stanowi całe bogactwo na polu chirurgii.

Obecznawszy się, choć pobieżnie, ze stanem chirurgii w szkole krakowskiej przed objęciem profesury przez Bierkowskiego, przyjrzyjmy się teraz życiu naszego profesora i ocenimy zasługi jego naukowe.

Ludwik Józef Bierkowski, doktor filozofii, medycyny i chirurgii, profesor i dyrektor kliniki chirurgicznej uniwersytetu jagiellońskiego, naczelny lekarz szpitali wojsk polskich, kawaler krzyża wojskowego złotego „Virtuti militari,” członek wielu towarzystw naukowych, urodził się z ojca Michała i matki Maryanny z Jabłońskich, w Poznaniu, d. 16 sierpnia 1801. Początkowe nauki pobierał tamże, od 1810 r., uczęszczając do szkoły przy seminarium duchownym istniejącej; następnie od 1813 r. w ciągu lat pięciu uczył się w liceum, potem gimnazjum św. Maryi Magdaleny przezwanem. Bierkowski miał lat 17 wieku, kiedy w r. 1818 ukończył gimnazjum, najwyższy zakład znajdujący się w Poznaniu; zdolny i pełen zapału do pracy, nasz młody Ludwik nie miał żadnych funduszy, i kiedy z tego powodu złote jego marzenia o dalszym kształceniu się w uniwersytecie na samym wstępie do życia pierzchny, ulegając konieczności, oddał się zawodowi rolniczo-gospodarskiemu i

w ciągu trzech lat zajęty praktyką agronomii, pracował nad naukami przyrodzonymi i technologią. Czas ten nie uważał Bierkowski nigdy za stracony; umysł jego w ciągłym zetknięciu z naturą nauczył się ją obserwować, rozwinał się i w części dojrzał. Ale życie agronoma, przy ograniczonych środkach do podźwignienia wiejskiego gospodarstwa, nie wystarczało dla badawczego umysłu Bierkowskiego, który party nieprzewycięzoną chęcią dalszego naukowego kształcenia się, porzucił zawód rolnika i mając lat 20 przybył do Berlina w 1821 r.

Młody berliński uniwersytet jaśniał wtedy sławą trzech znamiennych profesorów: Graefego, Hufelanda i Rusta, a dwaj z nich, Graefe i Rust, byli największymi chirurgami w owe czasy w Niemczech. Dwie nowe operacje, mianowicie dorabianie sztucznych nosów (Rhinoplastica) i zszywanie podniebienia miękkiego (Staphyloraphia) w całej Europie były wtenczas na porządku dziennym; Graefemu, który po raz pierwszy wykonał je na niemieckiej ziemi, śpiewano hymny uwielbienia. Sława, jak mistycyzm, działa czarująco na młodzieńcze umysły, porywając je: każdy chciał wtedy być chirurgiem; łatwo więc domyslić się że i nasz Bierkowski, nie tracąc ani chwili czasu, zapisał się w poczet uczniów wydziału lekarskiego, (19 grudnia 1821 r.) Wreszcie do nauk lekarskich miał on już utorowaną drogę dla siebie trzyletniem zajmowaniem się naukami przyrodzonymi i rozwinięciem wrodzonego talentu do wszelkich rękodziół, co w późniejszym jego życiu tak przeważnie wpływało na szczęśliwe pomysły przy wykonywaniu operacji i wynajdywaniu nowych instrumentów. W ciągu lat 7miu uczył się medycyny, szczególnie poświęcając się anatomii i chirurgii, której nauczycielami byli Graefe, Rust, Kluge i Jungken. W ciągu 3ch lat ostatnich pobytu na uniwersytecie, biegły już w odrabianiu anatomicznych okazów i znając dobrze rysunek, wydał anatomiczne tablice tętnic, żył i chłonic, przeznaczając je za przewodnika dla pracujących nad anatomicznymi wyrobami. Tablice te noszą napis: „Abbildungen der Puls—Blut—und Saugadern des menschlichen Koerpers, in 20 illumin. Stein-drucktafeln, mit Erklarung in deutscher und lateinischer Sprache.“ Z tych 44 tablic osobnych in folio, 6 zaś składających po 3 razem dwie tablice pięć stóp wysokie, z których jedna tętnice, druga zaś żyły całego ciała człowieka przedstawia. Tablice te, pomimo licznych prac przed i po Bierkowskim przez uczonych innych krajów dokonanych, zawsze będą koniecznością i ozdobą każdego anatomicznego teatru, a dla uczących się anatomii wielką pomocą. (1)

Zostając jeszcze na ławkach uniwersyteckich, w r. 1827 wydał drugie dzieło większych rozmiarów i rozleglejszego naukowego znaczenia, obejmujące całą chirurgiczną anatomią i chirurgią operacyjną, wraz z opisem narzędzi chirurgicznych. Ołbrzymie to dzieło, świadczące o niezmordowanej pracy młodego uczonego, wyszło pod następnym tytułem: „Anatomisch-chirurgische Abbildungen, nebst Darstellung und Beschreibung der chirurgischen Operationen, nach den Methoden von v. Graefe, Kluge und Rust; mit einer Vorrede von dr. J. N. Rust; 55 Tafeln mit 570 Abbildungen und 3 Conturtafeln in folio; 2 Bde Erklarung und Akiurgie in gr. 8vo. Berlin 1827. Verlag von Friedr. Aug. Herbig.“ Pierwsza część tekstu ma stronic 496, druga zaś 973.

Zjawienie się takiego dzieła stanowi epokę w chirurgicznej literaturze każdego narodu. Dziełem tém, pomimo nawet wad w opracowaniu, Bierkowski unieśmiertelniał się w nauce. Anatomia chirurgiczna, stworzona we Włoszech i po raz pierwszy w naukową całość w r. 1672 przez rzymskiego chirurga Genga ujęta, następnie uprawiana była przez Palfyn'a (1726 r.), Ant. Petit (1753 r.), Rosenmüllera (1805 1814 r.), który już anatomiczno-chirurgiczne tablice porobił, Rosenthala (1817 r.) i Velpeau (1825—1826 r.). Posługiwał się bezwzględnie pracami ich nasz uczonec, jednak wszystkie ważniejsze części ciała ludzkiego, czyli tak zwane okolice chirurgiczne, robił sam i z natury. Praca ta ołbrzymia, dowodząca w Bierkowskim silnego charakteru i mocnego przeświadczenia, że wykonywa dzieło wielkiej wagi dla chirurgii, bo bez anatomii niema ani chirurgii, ani chirurgów. Oprócz części anatomicznej, w dziele tém opracowana jest dobrze i część chirurgiczna, a wszystkie prawie operacje wykonywane na ciele ludzkim są opisami i rycinami objaśnione, głównie podług metod trzech profesorów berlińskiej szkoły: Graefego, Rusta i Kluge'go. Prócz tego znajdujemy tutaj przedstawione narzę-

dzia do wykonywania tych operacji niezbędne. Dzieło to znalazło powszechne uznanie i powinno być w rękę każdego poczynającego chirurga. (1)

(Dokończenie nastąpi).

## Kronika tygodniowa.

Goethe, zdaje mi się, powiedział, że z takim samym wrazeniem siada się do roboty literackiej, jakby się rzucało do zimnej kąpieli. Wielka to zaiste prawda.

Nieraz się zdarza że który z księgarzy lub wydawców, kiedy mu przyjdzie płacić literata, powiada do niego:

— Jaki szczęśliwy człowiek z pana! Tylko machniesz piórem, a już pieniądze się sypią. Tyle a tyle za wiersz. Napiszesz jeden wiersz, mozesz się już przejechać omnibusem; napiszesz cztery lub pięć, a dorozka jest na twoje usługi. Za dziesięć wierszy masz obiad, za sto małą pohulanke, a za tysiąc mozesz się od stóp do głowy ubrać. I co to ciebie kosztuje? Ot mechaniczna praca napisania na papierze, i więcej nic. Myśl sama przychodzi, tylko ją gonić, a stylu nabiera się przez wprawę. Materyał zaś, papier, pióra, atrament, to nawet śmiech powiedzieć. Na papierze za trzy grosze, piórem za grosz i atramentem za pół grosza, można kilkaset złotych zarobić. Nawet malarza więcej kosztują farby i płótno, nawet rzeźbiarza gips, a cóż dopiero marmur. I nie porównać tego wcale z innymi zarobkami, bo każdy z pracujących musi wyłożyć najprzód pewną sumę, żeby później zyskiwać, a tylko literat z niczego robi wszystko. Powiadam że tylko rodzic się i umierać literatem; jesteście panowie najszcześniejszymi ludźmi pod słońcem. A czy pan się pytasz czy ja zyskuję lub tracę? dawaj pieniądze i basta! Wszelkie ryzyko dla nas, dla was zysk tylko. Oj literaci, literaci! niech was Bóg kocha! łatwy i piękny wasz zarobek!

Ba—zarobek. Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie strasznie dziko brzmią w uszach owe dwa wyrazy połączone razem—zarobek literacki. Szewc nie wstydy się brać pieniędzy za zrobione buty, krawiec za surdut, restaurator za śniadanie lub obiad, kupiec za sprzedane towary. To zwykła rzecz. Ale im wyżej postępować będziemy po tej drabinie pracy społecznej, tém zarobek cięższym się wyda do zrealizowania. Adwokat, który wyłącznie prawie pracuje głową, rzadko bardzo oznacza sam cenę należną za swoją pracę, rzadziej jeszcze targuje się z klientem. Dada mu za mało, to trudno, przyrzeka tylko sobie w duchu, że nie będzie drugi raz już stał w interesie tak skąpej strony. Ale upominać się, przysłoby mu jak z kamienia; jakiś wstyd go zdejmuje, boć to nie praca rąk jego, nie wyrób narzędzi, ale idzie tu o wynagrodzenie trudu najszlachetniejszej części jego istoty, jego inteligencji, i umiejętności jaką sobie za pomocą téjże inteligencji zdobył. Dlaczego nigdy prawie nie zdarzają się procesa o honoraria obrończe? A jednak adwokatom najłatwiej zdaje się byłoby procesa wytaczać, a jednak ten i ów skarży się nieraz, że praca jego zbyt lichy wynagrodzoną została. Dzieje się to dlatego, że adwokat wstydy się poniekąd brać pieniądze za swój zarobek umysłowy. We Francji oznaczoną jest wysokość honorariów obrończych, prawo upoważnia w przypadku ukrzywdzenia przez klienta wytoczenie mu procesu. Ale żaden adwokat tego nie czyni, byłoby to bowiem źle uważanem przez jego towarzyszy. Dlaczego? Łatwa odpowiedź, bo im szlachetniejsza praca, tém trudniej brać ją pod miarę i wagę.

Toż samo dzieje się z doktorami. Ileż to przykrzych chwil młody doktor przejść musi, zanim się przyzwyczai do owych rubli ukradkiem wsuwanych w rękę, jakby ofiarujący wstydy się dawać, a lekarz odbierać. Ileż to razy odejdzie on bez zapłaty i zęgną się szybko, żeby uniknąć téj przykrzej chwili, bo powiada sobie: może razem zapłaca, może odesła do domu, może dadzą po wyzdrowieniu, to i lepiej. Pójdziesz do kupca, jeżeli nie zapłacisz, to i towaru nie otrzymasz; a doktor niewynagrodzony za wizytę, przyjdzie drugi raz, i czwarty, i dziesiąty, kiedy tylko wezwany będzie, w dzień czy w nocy, o pogodzie czy słońcu, czy jest zmęczony czy wypoczywa; choćby był zajęty najpilniejszymi studjami, i choćby się znajdował w najmilszym towarzystwie, musi iść, bo obowiązek go wzywa, a obowiązek przedewszystkiem. A gdzie tu porównanie z przemysłowcem, do którego same pieniądze przychodzą, który je odbiera jako prostą należność, bez żadnego wahania się? Ileż to lat na ciężkiej pracy musiał strawić doktor, zanim obdarzo-

(1) Lewkowicz w XIII tomie rocznika łow. nauk. krak. (str. 35—56) wydrukował nekrolog profesora Sawiczewskiego. W inauguracyjnej rozprawie dra Erazma Brzezińskiego (r. 1825) znajdujemy opisany sposób operowania wargi zajęcej profesora Lewkowicza i narzędzia do téj operacji przez niego w części poprawione, w części nowo wynalezione.

(1) Na tém polu i wielu innych uczonych pracowało, jak: Langenbeck, Münz, Quain, Wilson, Tiedemann, Froriep, ale i praca Bierkowskiego pomiędzy nimi zajmuje nader chlubne miejsce.

(1) W r. 1834 wydał w podobnym rodzaju chirurgiczne dzieło francuzki uczonec Bourguery, lepsze tylko co do artystycznego wykonania rycin.

ny został stopniem naukowym upoważniającym go do niesienia pomocy ludziom; ileż to lat czekać on później musiał na tę praktykę, na to zaufanie pacjentów, którego nie nakazuje się ani zdobywa wstępny bojem? Zanim przyjdzie mu nieść ulgę zdrowiu drugich, już własne zdrowie nadwreżył ciągłym czuwaniem, pracą, doświadczeniami, i nadal niszczyć je będzie, bo otwiera się dla niego zawód pełen poświęceń, wyrzeczenia się niejako siebie i wszystkiego co w życiu nazywamy przyjemnością, rozrywką, sportem. I za tyle trudu, za tyle ofiar, za ratowanie najcenniejszego dobra jakie ludzkość posiada, bo życia bliźnich, jakże ciężko brać te kilka złotych, które mu podają przy wyjściu, pokrywom, w pożegnalnym uściskaniu rąk! Dopieroż jeżeli pacjent nie jest zamożnym, jeżeli doktor widzi, że te leki które on zapisuje, że ta zapłata którą mu nieśmiało podają, stanowią znaczny ubytek w jego pieniężnych zasobach, iluz to fortelów musi on użyć nieraz, ażeby uchylić się od tego *honorarium*, które byłoby dlań niejako wyrzutem sumienia! A jeżeli słabość jest śmiertelną, jeżeli doktor przewiduje, że wszystkie jego usiłowania, że cała jego sztuka, że doświadczenie długoletnim trudem nabyte na nic się nie przydadzą i stargają się w bezsilnej walce przeciwko kresowi przez naturę oznaczonemu, — ileż to przykrych zajęć musi on odbyć z miłością i niespokojnością jaką krewni i przyjaciele otaczają łożo umierającego, ażeby uchronić się od niepotrzebnych wizyt i oszczędzić tej gorzkiej zapłaty, która wydaje mu się wówczas tak niesprawiedliwie pobrana! Niestety! natura ludzka jest taką, że wyprowadzony nawet z najcięższej słabości, zapomina wnet o niebezpieczeństwie co niedawno jeszcze mu groziło i zmniejsza zapłatę doktora, którą w chwilach wątpienia o sobie za zbyt szczupłą, za nieodpowiadającą przysłudze oddanej uważał. A kiedy powoli przychodzi do zdrowia, poczyna się rachować, i zapłata wydaje mu się ciężką, zbyt wygórowaną. A czyliż doktor targuje się wówczas? Gdzież tam? Za trud poniesiony, za noce nieprzespane, za narażenie się nieraz samemu na niebezpieczeństwo zaraźliwej choroby, za odpowiedzialność jaka nań ciąży i której doniosłość on sam tylko pojmuje, — wszystko co mu dadzą wydaje mu się dostatecznym, nie wspomni się o więcej, nie poskarży się, i kiedy stał się niepotrzebnym, znika z oczów, kwitując z wyższej zapłaty, a nie wymagając wdzięczności; przyzwyczaił się już bowiem w zawodzie swoim, że po większej części w nazwie ona istnieje tylko. Być może iż znajdują się wyjątki, bo gdzież ich niema? ale na chwałę zawodu lekarskiego, zwłaszcza u nas, powiedzieć możemy, że są one nadzwyczaj rzadkie. Doktorzy nasi, po największej przynajmniej części, odznaczają się bezinteresownością i poświęceniem — i dlatego rzadko który z nich zbierze majątek ze szlachetnej swojej pracy. Łatwiej im utracić zdrowie, aniżeli zyskać pieniądze.

A jeżeli chcecie jeszcze lepiej i dotykaliście o tej prawdzie się przekonać, spojrzcie na ludzi nauczycielskiego powołania. Ciężki to chleb! Jakim trudem nabyty, a jak niewdzięczny! Niestety! im wyższy jest zakres nauki której nauczyciel udziela, tym mniejsza zapłata, tym cięższe staranie o nią. Kiedy metr tańców biera od dwudziestu do trzydziestu złotych na godzinę, kiedy nauczyciel śpiewu rzadko kiedy niżej dukata oceni sześćdziesiąt-minutową pracę swoją, kiedy jak Anglik, Niemiec lub Francuz, przybyły z zagranicy dla szukania tu chleba, po kilku latach pobytu w naszym kraju potrafi nieraz uciulać sobie sporo grosza, — człowiek rzeczywiście wykształcony, za cały czas swój udzielaniu nauk poświęcony, zaledwie wyżyć zdoła. Zapłata którą mu ofiarują rzadko kiedy podniesie się do czwartej części tego wynagrodzenia, jakie metr tańców pobiera. A nie chcesz brać, to mniejsza o to; o głowę łatwiej niż o nogi. Za kilka naszych dobrych złotych tyle tych głów zdobędziemy, ile tylko zechcemy. Gdybyś był gimnastykiem, berejterem, gdybyś uczył jeżdżenia na łyżwach, albo pływania na 24 różnych sposobów, mógłbyś zaiste się drożyć; ale jesteś profesorem historii, matematyki, nauk przyrodzonych, to niepopłatne rzemiosło; więc do naszych zadań zastosować ci się należy, a nie nam do twoich. A jeżeliś stracił siły na nauce, jeżeli ci twarz wywiedła, włosy przedwcześnie pobielają, to tym gorzej dla ciebie, poco tak niewdzięczny zawód obierasz? Tyle ich jest łatwych a popłatnych. Czemuś się nie kierował na jakiego dostawcę albo monopolistę? byłoby ci lepiej na świecie.

Więc biada ludziom pracującym głową! I ty wydawco wymawiasz literatowi jego łatwy zarobek? Łatwym zaiste wydaje on się napozór; bo też gdyby trudności które go otaczają uwidoczniły się na chwilę, niktby poświęcać mu się nie chciał. Zasiąść do

stolika, wziąć pióro i papier przed siebie i zacząć pisać, a już grosz się sypie. Zapewne; lecz ileż to czasu, ileż trudu i nauki przejść musisz, żebyś mógł tak usiąść i zacząć pisać i żeby ci placono za to co napiszesz. To nie za chwilę obecną, to za całą przeszłość na pracy strawioną płaci się, za długie lata starań, zawodów.

Publiczność czytająca, to jak piękna kokieta: odzuca ona pierwszą miłość, którą młodzieniec u nóg jej składa, chociaż to miłość najgorętsza, najprawdziwsza, najżywiej poczuła. Rzadko kiedy wstępujący w świat pisarski odrazu znajduje współczucie, rzadko kiedy zyska imię, tak potrzebne dla zapewnienia sobie niezależności; a jeżeli się to stanie wyjątkowo, to czeka nań przyszłość z najczarniejszymi zawodami, z zawścią, z oszczerstwem, z upadkiem prawie zupełnym, przyszłość która wielokrotnie każe mu opłacać haracz, jaki zaniedbano odebrać odeń u wejścia. A zwykle długo łamać się, długo walczyć on musi, zanim zyska sobie prawo obywatelstwa w tej rzeczypospolitej piśmienniczej, która z taką trudnością zapewnia niezależny byt swoim członkom. I staje się to najczęściej może wówczas, kiedy przemieły najświetniejsze chwile zapła, kiedy ze skrzydeł talentu startł się już ten świeży pył motyli, co najpiękniejszymi barwami polyskuje w majowym słońcu życia.

A czyliż zawsze i tego doczeka?.....

Oto świeżo dowiedzieliśmy się o śmierci Mieczysława Romanowskiego. Był to jeden właśnie z tych wybranych, przed którymi talent, wcześniej i w samą porę oceniony, otwiera złotą furtę życia. Znajdował się on w tym szczęśliwym wieku, w którym człowiek o niczem nie wąpi, do wszystkiego czuje się zdolnym, nie ustraszony żadną pracą, nie cofnie przed przeszkodą żadną. W kraju naszym, gdzie tak mała jest liczba prawdziwie utalentowanych autorów dramatycznych, Romanowski był właśnie jednym z tych, na których najbezzawodniej liczyć było można. Świeże jeszcze jest wrażenie jakie na wszystkich czytających uczynił jego *Popiel* i *Piast*, obraz dramatyczny pełen piękności pierwszego rzędu. Czuć tam było potęgę natchnienia, młodość, niezużyty jeszcze zapał i talent wzbijający się dopiero, którego wysokość polotu trudno było zmierzyć z tej pierwszej próby. A sam wybór już dowodził ufnosci w siły własne, ufnosci która najczęściej znamionuje prawdziwy talent, zwłaszcza jeżeli nie zawodzi na pierwszym zaraz kroku.

Nie będziemy tu wliczali prac zmarłego poety, (jakkolwiek literatura nasza winna mu jest wiele utworów wyskakujących po za zwyczajną miarę codziennych zdolności), bo wszystkie one nikną przed tą ostatnią, która też do nazwiska Romanowskiego przywiązała wysoki urok i ogólne współczucie. Czytając *Popiela* i *Piasta*, każdy pojmował, że na widokregu naszym dramatycznym zabłysła gwiazda pierwszej wielkości. Dotychczas na tym polu mieliśmy tylko połowiczne usiłowania, mieliśmy talenta, (nie mówię tu o komedyopisarzach); ale brak im było tej okrągłości, tej całkowitości pomysłu i wykonania, co prawdziwą zdolność dramatyczną znamionuje. Utwory ich piękne były w czytaniu wyłącznie, albo też przydatne dla sceny, lecz zależnie tylko od pewnych odrębnych warunków, tak w aktorach, jak i w widzach. Nie wiem czy się zrozumiałe wyrażam. Utwory dramatyczne o których mówię, mogły być dobre dla nas, wychodząc z odrębnego stanowiska i sposobu zapatrywania się; ale jako dzieła ogólnej piękności, słabe one były i nie dopełniały koniecznych warunków dramatu. Wypadki i myśli przeniesione na scenę i przyjmowane u nas z zapalem, nie zadowolilyby może Francuzów albo Niemców i zniknęłyby musiały w przekładzie na jakikolwiek język obcy. Ale po próbie którą nam dał Romanowski, można było już sądzić że to jeden z tych poetów, co wszędzie potrafią zająć należne sobie miejsce, co w pełnym rozwoju sił swoich, pracy i talentu stanowią chlubę dla społeczności w jakiej się narodzili, należą do ogółu i prędzej czy później ogólnie też uznanie zyskać muszą. Śmierć przecięła tę tak świetną przyszłość i przedwcześnie zamknęła szereg prac, które, sądząc po tém co już mamy, tém większy żal budzą za tém czego się spodziewać było można.

Podobno zmarły zamierzał przerobić swój poemat dramatyczny w taki sposób, żeby go zastosować do warunków sceny. Nie wiemy czy ta praca została uskutecznią; sądźmy jednak iż z bardzo małymi zmianami *Popiel* może być przedstawiony i wielkie na scenie budzić będzie wrażenie. Niewiadomo nam również czy poeta dokończył inny swój dramat pod tytułem „*Stańczyk*“, nad którym od roku pracował. Sam już wybór tego przedmiotu okazuje wielkie poczucie zasobów dramatycznych jakie historia nasza

przedstawia. Romanowski nie ubiegał się za łatwem przedmiotami, które każdego wabią do siebie i przez każdego bywają obrabiane. Ileż to bowiem mamy Barbar Radziwiłłówni, Jadwigi i t. d. Prawie każdy dramat albo tragedia u nas znajdowały ciągle echa swoje, co kilka lat się powtarzające. To samo już dowodzi braku samodzielnych talentów, na jaki przed chwilą uskarżaliśmy się.

Wracając od zmarłego do żyjących, wytłumaczyć się musimy czytelnikom, co spowodowało te uzalania się nasze na niewdzięczność prac umysłowych.

Oto dzisiejszy nasz feljeton.

„Jako, feljeton? zapytacie, ta najłatwiejsza z prac literackich, z przedsięwzięciem umysłowych, z ćwiczeń gimnastycznych pióra? I cóż może być dla pisarza łatwiejszego, przystępniejszego, mniej zadającego trudu? Wszystko tam dozwolone, wszelkie przejście możliwe, każdy przedmiot stosowny. Feljeton może być i powiastką, i rozprawą, i ćwiczeniem moralnym, i kazaniem nareszcie, jeżeli kaznodziejski zapał ogarnie feljetonistę. Feljetonista może pisać o wszystkim i w jaki chce sposób, pod jednym tylko warunkiem, żeby nie nudził czytelnika. I ty śmieś się żalić na pracę tak łatwą, która ci się dostała w podzieleniu! Niewdzięczny!“

Przyjmuję ten zarzut, pomimo że wywody jakie w ten sposób o feljetonistach czynią, nawet w najbardziej sprzyjających im warunkach czasu i okoliczności, nie wydają mi się słusznymi. Biedni ci pracownicy dnia jednego! Utwory ich służą za chwilową tylko rozrywkę, za poobiedni wypoczynek; zaledwie dziś przeczytane, już zapomniane nazajutrz. Podobne one do tych żyłatek, które pierwszy promień słońca wprawia w życie, a pierwszy chłód wieczorny zabija. A jednak choćby na to efermeryczne tylko istnienie, każdy utwór ażeby mógł być przywołany do życia, musiał zaczerpnąć z tego ogólnego źródła, z którego powstaje wszystko co piękne i trwałe, jak również wszystko co przemijające i znikome. Na te pozornie puste frazesy, na to krążenie w ciasnym kółku przez ramy pisma czasowego zakreślone, zużyła się myśl; której inny nadawszy kierunek, mogłoby się stworzyć dzieło trwalsze i dopominające się o swoje miejsce w świecie książkowym. Feljetonista nie ma czasu opracować swoich pomysłów, czekać aż one dojrzeją; chwila bieżąca nań woła, należy szpalty zapelnąć, należy dostarczyć zecerom żądanej ilości wierszy. Ileż to utworów, mogących korzystnie użytkować się napóźniej, zmarnowało się tak! A gdyby choć co pozostawało po tém! Ale ta praca ginie bez śladu, jak tydzień który przeminał, jak te dziesiątki, setki innych, które przeminały po nim. I tworzą się z tego tomy całe, które znikają w niepamięci, jak ten co je pisał, bo posłużyły tylko do chwilowej rozrywki czytelników. I któż nawet pyta o nazwisko feljetonisty? Jest to współpracownik tego lub owego pisma, napisał dwieście albo trzysta takich feljetonów; ale się zaraz o nich zapomniało po przeczytaniu. Szczęśliwie, jeżeli choć chwilowe budziły zajęcie.

A jednak zapominacie o tém, czytelnicy, że te feljety muszą koniecznie co tydzień wychodzić, bez względu czy pisało je się w złem lub dobrem usposobieniu, w słabości lub smutku, z głową pustą lub pełną myśli obcych słowom jakie się kładło na papier. Pisało je się w tylu rozlicznych warunkach życia, które nakazują zamknięcie się w sobie i oderwanie się od wszelkich przedmiotów zewnętrznych, a nawet wstręt do zajęcia się niemi. Pisało je się czasem z ciężką troską na sercu, z ciałem złamanem chorobą, z gorączką mózg trawiącą, a trzeba było żeby czytelnicy nie poznali tego po ciągle napozór jednostajnym humorze feljetonisty. Bo co im do osobistych jego słabości, umartwień albo trudności jakie napotyka w życiu? Co im do braku przedmiotów i nawijania się pod pióro takich, z których korzystać nie można? Oni pragną swojej strawy codziennnej, bo za nią płacą, bo zrobili z nim ugodę, mocą której musi on z jakie półgodzinki wolne od zatrudnień zapelnąć im swoją gawędę.

A jeżeli słońce pięknie świeci na dworze, jeżeli natura pierwszym wyprzedzeniem się wiosennem wabi do siebie, jeżeli siedzenie przy stoliku i łamanie sobie głowy nad trudnościami tysięcy omówień w smutnym rzemiosle naszym koniecznych, staje się nieznośnym, w chwili kiedyby się chciało nie dręczyć myśli, zacieśniając ją w umówione karby, — w takiej chwili, czyliż zdziwicie się czytelnicy, że piszący się żali i zardrości tym, na których podobna niewola nie cięższa?!

Wybaczcie więc jeżeli kronika moja pustą czasem bywa i niezajmującą, i przez pamięć przeszłości przyjmijcie co na dziś wam podaje.

PŁOWCE.

Słynną się stała w Kujawach wieś Płowce, miejsce na którego rozległych a równych polach pobit Krzyżaków Władysław Łokietek (1), wówczas już siedemdziesięcioletni starzec, prosto z checińskiego sejmu przybyły, na którym przelożył stanom potrzebę wezwania pospolitego ruszenia.

Od płowieckiej bitwy, według podania, ród Zamojskich wywodzi swój początek, w męznym rycerzu Floryanie Saryuszu, herbu Kozłorogi, który leżał na polu bitwy raniony trzema włóczniami i wychodzący z żółdka jelita zatrzymywał rękami. Objężdżający król pola zasłane poległymi, postrzegłszy Saryusza, wyrzekł do swych towarzyszy: „O jak wielki ból ten nieborak cierpi!“ Na to raniomy rycerz odrzekł: „Większy, miłosciwy królu, jest ból ziego mieć sąsiada.“ Łokietek rozkazał swemu nadwornemu lekarzowi opatrzyć jego rany, a wynagradzając meztwo, do dawnego herbu trzy włócznie przydał i okupił mu drugą połowę Płowiec.

Julian Ursyn Niemcewicz tak w swych śpiewach, o bitwie płowieckiej powiada:

Już noc swę czarne rozpostarła cienie,  
Gwar tylko słychać wojennego ludu;  
Tu owdzie ognisk rozdział płomień,  
Przy nich w spoczynku z długich walek trudu  
Wsparci na tarczach wojownicy stali  
I o przygodach bitwy rozmawiali.  
Niekiedy księżyc, wychodząc z obłoków,  
Okropnej bitwy ukazywał ciosy:  
W równinach Płowiec i głębi potoków  
Krzyżackich trupów niezliczone stosy,  
Leżące konie, zabite rycerze  
I połamane helmy i pancerze...

Zwidzając Płowce, Niemcewicz wyręć kazał na kamienną tablicę, którą wmurowano w figurę (ob. rysunek) następujący napis:

R. 1334 d. 27 wrzes.

Za Władysława Łokietka króla polsk. miejsce sławne zwycięstwem nad Krzyżakami odniesionem i pochowaniem rycerzów polskich, wraz z 20,000 Krzyżakami tu pod Płowcami poległych.

W tej właśnie figurze umieszczony jest dzwon, noszący datę MCDVIII (1408) (2), pozostały po kościele dawniej tam istniejącym, który jeszcze dzisiaj nader czystym i donośnym głosem codziennie rano, w południe i w wieczór wzywa mieszkańców Płowiec do modlitwy.

Figura ta stoi na byłym cmentarzu zniszczonego od lat wielu kościoła parafialnego, na którym spoczywały ciała dwóch komturów, pięćdziesięciu sześciu dowódców chorągwi i wyższej rangi krzyżackich rycerzy, oraz czterech walecznych dowódców chorągwi polskich.

Płowce nabyte zostały w roku 1750 przez Antoniego Biesiekierskiego senatora kasztelana, od hrabiego Pawła Dąbskiego, a dziś są własnością p. Włodzimierza Biesiekierskiego.

JAREMA,

studjum

Z WEWNĘTRZNYCH DZIEJÓW GALICJI,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Jarema obracał w rękę talarkę z Matką Boską i myślał sobie w duchu:

— Huber ma słusność—jam tego pierwój nie wiedział.  
Huber mówił dalej:

(1) Obszerny opis potrzeby płowieckiej, wraz z rysunkiem przedstawiającym samą bitwę, później czytelnikom podamy. (Przyp. redak.)

2) O tym dzwonie wspomina Kraszewski, w wyjątku z Ikonoteki polskiej, zamieszczonym w kalendarzu Ungra z 1855 roku.

— I może teraz we dworze kto myśli o tobie, że ci tu nienajlepiej siedzieć? Gdzie tam! Pan prędzej myślałby o psie legawym, niżeli o swym słudze. Oni tam zapijają sobie poncz z rumem i dwa razy na dzień kawę piją, bo gromada na nich pracuje. Grają sobie w karty, gdy im się dłuży, albo jadą na wояж, gdy już dużo długów mają. A cóż tam chłop u nich?

Jarema kiwał głową to w tę to w owę stronę, bawiąc się ciągle talarkiem z Matką Boską.

— I dlaczegoż to tak jest? zapytał po chwili.

— Ba, dlaczegoż tak jest, odparł Huber. Ja już nieraz pytałem się starszych od siebie o to. Powiedzieli mi że tak jest, bo tak dawniej bywało.

Jarema myślał, co to wszystko znaczy, ale nie mogło mu się to w głowie pomieścić. Wiedział on tylko teraz, że dziedzic wielką wyrządził mu krzywdę, że prawdopodobnie w rekruty go oddał. Zasmucił się i spuścił głowę.

— Nie smuć się Jarema, rzekł po chwili Huber, kazawszy drugą kwartę piwa przynieść, nie smuć się, wszystko co złe, to minie, a może być lepiej. Rekrutowi zawsze złe jest, ale potem przyzwyczaisz się. A gdy wysłyszysz swój czas, to możesz sobie znaleźć wygodny kawałek chleba. I wierz mi, choć człowiek jest prostym żołnierzem, to zawsze więcej znaczy niż kamerdyner pański z białą chustką na szyi. Kamerdyner, możesz nakłąć gospodarzowi, jak ci się podoba. I ja byłem żołnierzem.

Łyknawszy piwa, prawil dalej Huber:

— Wojak, to przecież nie psia para. Pamiętam, raz wysłano mnie na egzekucyę do possessora. (1) Było widzieć, jak ja tam nos do góry trzymał! Dawano mi dwa razy kawę na dzień, a jeszcze kłamię co się zmieszcilo. A pan possessor jaki był uniozony dla mnie! Zawsze mówił: „kochany panie Huber, czybyś nie chciał przy tej okazji wypędzić chłopów na pańszczyznę. Jesteś wojak, a twój biały mundur więcej znaczy, niżeli mandataryusz!“ I było widzieć jak krzyknął na gromadę: „do sierpa!“ I cieszyłem się, że possessor prosił o tę łaskę!.. O łaskę moję prosił possessor, rozumiesz rekrucie?...  
— Ba, odparł rekrut naiwnie, przecież to było przeciw gromadzie.

(1) Dzierżawcy.



POMNIK wystawiony przez J. U. Niemcewicza na pamięć bitwy pod Płowcami. (Rysował z natury Biesiekierski).

— No, no, tego nie trzeba brać tak ściśle, mruzczał pod nosem Huber, dość na tém, że byłem sobie wtedy jak pan jaki, i codziennie wypędzałem do żniwa... póki possessor podatków nie zapłacił, a ja z „brodsakiem“ (1) znowu do przeklętej kazarni nie wróciłem...

(1) Torba na chlęb.

Jarema kazał dać znowu piwa i ciekawie słuchał Hubera. Marzył sobie, jak to onby przyszedł do Nowejwsi, w białym mundurze, czako „blank polirt“... (1) jakby to zaklął... ale komu? o tém jeszcze nie myślał rekrut.

— I widzisz, ciągnął dalej Huber, przecież w koñ-

(1) Pięknie wyczyszczony.

cu dosłużyłem się chleba. Zostałem kapralem, a wysłużywszy kapitulacyę, (1) przyszedłem tu do miasta. Właśnie było miejsce na Amtdinera, a że wysłużony wojskowy przed wszystkimi innymi ma pierwszeństwo, więc dostałem tu urząd i jestem sobie panem. Mam sto pięćdziesiąt reńskich na rok.

— Sto pięćdziesiąt! krzyknął Jarema, dla którego ta summa była summa neapolitańska.

— Tak jest, sto pięćdziesiąt cwancygierami. Co pierwszego fasuje z kassy dwanaście reńskich i pół!

— Dwanaście i pół!

— I mam fraj kwartyr i drzewo i zawsze coś ka-pnie—słowem ein gemachter Mann. (2)

Rekrut zamyslił się głęboko. Najcudniejsze obrazy przebiegały mu przed oczyma. Chciał jeszcze coś powiedzieć; ale wtém wstał Huber i rzekł do niego:

— Zapłać, bo nie mam czasu, starosta czeka na mnie. Tak, tak, starosta! Mam tylko takich kilkuna-stu w mieście, którym się kłaniam: starościu, kom-missarzom, kancelistom i kontrolerowi od kassy. Wszyscy inni czapki przedemną zdejmują. I ty mo-zesz takim jak ja zostać... jeśli tyle będziesz umiał co ja. Ale dziedzic ciebie nie uczył czytać i pisać. A widzisz! to niechże cię ucza tego w pułku.

Rzekłszy to, zasadził czapeczkę na głowę i pocią-gnął Jaremę za sobą, a Jarema cieszył się, że przy-najmniej w ręce katolickie przejdzie jego talar z Mat-ką Boską, który dostał od panny Zofii.

Przed dziewiątą przyszedł do kazarni i z ciężką głową położył się na sztrzak. (3) Ileż tam nowych myśli krążyło teraz po tej głowie kędzierzawej, krót-ko ostrzyżonej! Huber nagadał mu tyle rzeczy, jakiś nowy, nieznan dotąd świat otworzył przed jego o-czyma. Okazał w perspektywie ponętą karierę na sto pięćdziesiąt reńskich, z deputatem drzewa! Mój Boże, myślał sobie Jarema, gdybym ja to pisać umiał i czytać. Zostałbym kapralem, a potem świat cały stałby dla mnie otworem!... Czemuż mnie we dwor-ze nie uczono czytać i pisać?... Ohoho! dziedzic to dla chłopu nic nie zrobił! Onby wołał, żeby chłop był ciemny i głupi. Huber ma słusność!...

(1) Czas obowiązkowej służby.

(2) Pan całą gębą.

(3) Siennik.

I gdy właśnie tak sobie myślał, tak snił słodko o sztuce pisania i czytania, szturchnął go kapral pod zebro, aby się czempredziej zbierał. Jarema otworzył oczy: dzień był już biały.

— Wstawajcie, zawołał kapral, ruszajcie się Macki, bo tu nie na piecu leżycie. Choć dęszcz dzisiaj pada, to przeto nie będziemy próżnować. Pan lejtnant zaraz przyjdą i będą trzymać szkołę, Schule hal-ten. No przedko! au!

Jarema przetarł oczy i sam sobie nie wierzył. Czy to było na jawie, czy we śnie jeszcze? Właśnie sni-ło mu się, że siedział na długiej ławie, na jakiej zwy-kle bito przestępców, sniło mu się, że przed nim le-żały litery jak baki z brzuchem wydętym, to znowu jak kije do kupy związane, albo jak stolki do siedze-nia. Jarema rozpatrywał się właśnie w tym nowym świecie, gdy go nagle zbudzono. I o dziwo! zbudzo-no go, aby się zbierał do szkoły, gdzie właśnie ta-kie długie są ławy, a na ścianie wisi tablica z ta-kiemi samymi bakami, jak we śnie przed nim le-żały!...

Niepewnym był jednak co właściwie w kazarni może oznaczać to słowo „szkoła.“ Zapytał się więc o to towarzysza.

— Jakto, nie znasz co szkoła? odparł towarzysz. A prawda, tyś głupi rekrut. Szkoła, to jest cymra, (1) w której pan lejtnant wiele gada, a jeszcze więcej za usy targa.

— A co gada? przerwał rekrut.

— Ot gada różne rzeczy: co to karabin, jak się na-zywa zamek, bagniet i lufa, co jest kapral i kirchpa-rada, a co hauptwach i posten. Co są menażki i le-nik, a co sztokhaus i krummgeschossen i t. d.

— I czego więcej uczył, zapytał ciekawie rekrut.

— Czego uczył? odparł szlafkamrad. Ot uczył także co jest krieg i doppeltenik.

— A czytać i pisać? wyszepnął zeicha Jarema.

— A także, jeżeli kto chce i ma palec potemu.

— Kto chce? powtórzył rekrut—o jabym chciał!...

— Jeżeli ci mało kułaków w brzuch i plecy, to możesz jeszcze i palec nadstawić... Zresztą ten tylko uczył się czytać i pisać, kto chce, czyli raczej kto się spodziewa zostać kapralem. Kapral musi pisać raport i prowadzić menażebuch.

Jarema spuścił oczy i nic na to nie odpowiedział. Ale w duchu myślał sobie: Ja chcę zostać kapralem i prowadzić menażebuch!

Właśnie w tej chwili zawołano go do tak zwanej szkoły.

Była to zwykła izba żołnierska. Rekruci siedzieli na siennikach. Po chwili wszedł pan lejtnant — i szko-ła zaczęła się.

Pan lejtnant mówił im najprzód, że żołnierz już nie jest prostym Mackiem. Powinien szanować swój biały kab-bat, nie powinien kraść, ani w błocie leżeć. A gdy kilka kardyna-nych wyobrażeń w najrozumialszy sposób im wytłumaczył, przytoczył kilka przykładów, zdolnych pobudzić miłość własną żołnierzy.

Tak i tym podobnie gadał pan lejtnant i na tém skończyła się szkoła. Jarema wyszedł z niej dum-niejszy i śmielszy, a choć jeszcze czytać i pisać nie umiał, zdawało mu się jednak, że już więcej znaczy jak ogrodnik albo kucharz. I gdyby wtedy wlaź mu był w drogę dzie-dzic jego, pewnie powitałby go z tak gęstą miną, na jakaby się tylko zdo-być mogła jego twarz pomarszczona.

Bawiło go i zadowalało przez dni kilka wysokie o sobie wyobra-żenie; a gdy już z tém oswajac się zaczął, nadeszła sztuka czytania i pisania.

Czytać i pisać! To słowa ze złota lane! Może zostać kapralem, a po czterestu latach mieć pensyę sto-pięćdziesiąt reńskich! Czytać i pisać! Świat cały stał dla niego otworem!.. A w Nowejwsi nikt o tém nie po-myślał! Tam nie było ani tablicy z dużymi literami, ani arkusza biale-go papiérul!...

— To przecież dobre ludziska, mruzczał Jarema pod nosem, podczas gdy mu kapral palece wyłamywał, aż

(1) Pokój.



PŁOWCE (Rysował z natury Kozarski).

kości trzeszczały. Przecież to wcale inaczej człowieka traktują, myślał sobie w duchu, gdy feldwebel ucho mukreć za żyda na papierze... a pan kapitan to prawdziwy ojciec, marzył sobie oblizując palce, po których właśnie skrobnał go linia kapitan za to, że a przewrotnie napisał.

— Człowieka przecież czegoś nauczą, mówił do szlufkamrata, a czego nie nauczą, to wbijają w niego, bo różnie uczy się człowiek. Patrz Macku, gdyby mnie kapral nie był w bok szturchnął, nie byłbym przy a zrobił tak ładnego ogonka.

Przy tak optymistycznym usposobieniu Jaremy, nie trudno mu było, z nakładem ogromnego kapitału cierpliwości, nauczyć się za sześć miesięcy czytać i pisać. Rozumieli się, że i w czytaniu i w pisaniu często jeszcze szwankował, ale umiał przynajmniej każdy szyld nad sklepem przeczytać, jeżeli artysta niezbyt litery powiżywał, i umiał napisać list do swego opiekuna w Nowejwsi, który zaczynał się: „Wiel Ceko-cha Ny obieguniel“ i t. d.

Któż był szczęśliwszy teraz od Jaremy? Stała z tak gęstą miną po bruku, jakby miał w stajni sto koni. I myślał sobie: gdyby kto w Nowejwsi byłoby mnie czytać i pisać nauczył, byłbym już kapralem, miałbym pięć dydków dziennie, szeroki żółty pasek wo-koło czapki i karabin trzymałbym w lewej ręce. A tak trzeba się dosługiwać. Przecież służba dzisiejsza może mnie do czegoś doprowadzić! Huber ma sto pięćdziesiąt reńskich!

Pewnego razu przybiegł Huber do kazarni i krzyknął Jaremie do ucha:

— Jarema, chodź, pójdziemy do kommissarza!

— Do kommissarza? odfuknął Jarema ze strachem.

— Jakto? nie przypominasz sobie tego urzędnika, który w Nowejwsi uwolnił cię od kijów, gdyś kanarka ukradł?

Jarema posunął ręką po czole. Było to dla niego wspomnienie zbyt bolesne, bo mu przypominało Nastkę jasnowłosa, której dotąd nie mógł zapomnieć. Zadumał się na chwilę, a potem rzekł:

— Aha, ten pan, co to obiecał mnie na służbę wziąć do siebie!

— Ten sam, odparł Huber, więc do niego pójdziemy. Wprawdzie on o tobie prawdopodobnie zapomni, bo właśnie ze Lwowa na kommissarza trzeciej klasy przyjechał, ale ja mu ciebie przypomnę. Tylko słuchaj: jak co dostaniesz, pójdziemy na wino.

Jarema przyrzekł wszystko, a Huber, któremu już nos sporo poczerwieniał, wziął go pod ramię i obaj wyszli do miasta. Długo chodzili po chodniku przed urzędem obwodowym tam i nazad; aż wreszcie wyszedł z tamtąd znajomy nam urzędnik, w mundurze służbowym. Obaczywszy Hubera, popatrzył chwilę na niego, a potem rzekł:

— Huber!

— Zu Diensten, panie kommissarzu, odparł Huber, kłaniając się nisko czapeczką.

Kommissarz powiedział mu coś o jego czerwonym nosie, przypomniał mu nawiasowo „Nowagórę“ i pytał go, czy ma jeszcze kark cały i zebra w dobrym stanie. Po chwili chciał już odejść, gdy Huber zwrócił uwagę jego na swego towarzysza. Kommissarz wpatrzył się w żołnierza, który jak struna wyprężył się przed nim i dwa palce do holecimicy (1) przyłożył, ale nie mógł sobie tej twarzy przypomnieć.

— Czy nie poznaje pan kommissarz Jaremy? wtrącił Huber nieśmiało.

— Jarema! Jarema! powtarzał kommissarz i szukał czegoś w pamięci.

— Co to przed kilkoma laty w Nowejwsi ukradł kanarka i za to kije miał dostać—prawił dalej Huber.

— Aha, aha, przypominam sobie... odparł kommissarz.... Mordkerl Jarema, mam zapisane w dzienniku....

— Co to go pan kommissarz obiecał na służbę wziąć, gdy zostanie pan kommissarz starostą, wtrącił Huber.

— Ba, niechno piérwój Jarema kapitulacją wysłuży, odrzekł z uśmiechem kommissarz.... Ależ on służył we dworze....

— Ze dworu wypędzono go i oddano w kamasze, mówił Huber.

Jarema zwiesił głowę, na znak że to co Huber mówi, istotną jest prawdą, a kommissarz poklepał go po ramieniu i mówił mu, żeby nie tracił ducha, tylko dobrze się sprawował, a cesarz o nim nie zapomni. I w końcu przyjął dwa cwancygiery i wsunął je do ręki Jaremy. Przytęm ścisnął go widocznie za rękę i powiedział mu, aby każdym razem do niego się udał, gdy czego potrzebować będzie.

— Widzisz Jarema, szeptał mu do ucha Huber, ty przez moją protekcją wyjdiesz na człowieka. Już twoja karyera gotowa. Widzisz co to służba cesarska! Oho, ho! panowie to inaczej płacą za służbę! Wypędzą, obedną, do kamaszów zapakują!...

Jaremie zdawało się, że już awansował, że jest już czemś między kapralem a prostym żołnierzem... Wziął Hubera pod boki i z taką butą nasunął czapkę na lewe ucho, że wszyscy przechodnie z drogi im się ustepowali, bo myśleli że szukają zaczepki.

— Patrz, jak cywil przed nami ucieka! szepnęła Jarema Amtsdoinerowi do ucha, ten cywil, to śmiecie! Pójdźmy do Joška!

U Joška było wiele gości. Jedni pili piwo, inni wino, a byli i tacy co miód pili. Jarema siadł u stołu, przy którym siedzieli ci co wino pili i krzyknął na kelnera, aby przyniósł kwartę wina.

Za kilka chwil stała przed Huberem ogromna flacha z brudnożółtym płynem. Obaj popijali ze szklanek, życząc sobie to tego, to owego. A gdy już ciepłej zaczęło im się koło serca robić, uderzył w stół Jarema i zaśpiewał sobie jedną z tych pieśni, którą będąc pastuchem śpiewał w Nowejwsi:

...Żal welyki maju, tuż bez prestanku,  
Tiazenko wzdychaju wid zmroku do ranku—

Sediacy doma dumaju,  
Szo przytela ne maju,

Żal serciu mojemu  
Tak żyty samomu!...

Jakim sposobem ta ruska dumka wymknęła się z piersi Jaremy... co ją tam obudziło wśród dzisiejszego jego położenia? trudno odgadnąć; może to było instynktowe przeczucie, że ci co dzisiaj znajdowali się koło niego, nie byli jego przyjaciółmi? może to była wyjątkowa chwila w jego życiu, w której uczył bolesne osamotnienie swoje wśród obcego żywiołu? Nie wiemy; lecz dosyć że głos Jaremy był smutny i rzewny i wszystkich pijących do milczenia zmusił.

Rzewna i smutna melodya słowiańska wpadła jak perła między brudną atmosferę szynku i sprawiła na chwilę dziwne wrażenie. Płaskie koncepta, nieswojskie śpiewy ucichły nagle. Sam Jarema uczył w piersi jakieś błogie zadowolenie, gdy ta pieśń ojczyzna w jego sercu zabrzmiała. I porwany jakąś nieodgadnioną, wewnętrzną rokoszą, zabierał się właśnie do odśpiewania drugiej wrotki, gdy Huber nagle w bok go szturchnął i zawołał:

— Czyś zwaryował? Śpiewasz jak chłop, jak pastuch—ty przecież wojak! Ludzie śmiać się będą. Patrz, tam kapral już się śmieje, a furer patrzy się na ciebie jak na raroga.

I chcąc zatrzeć czémprędzej niekorzystne wrażenie, jakie według jego zdania pieśń Jaremy wywarła na całym szynkownym zgromadzeniu, zaczął donośnym głosem śpiewać rapsod ulubionej swojej piosenki, szturchając Jarema, aby mu wtórował:

...O mein lieber Augustin,  
Eins, zwei, drei, eins, zwei, drei,  
O mein lieber Augustin,  
Eins, zwei, drei, vier!

Zawstydzony Jarema uwierzył w nieprzyzwoitość którą popełnił i jak mógł biedny, starał się gardło swoje do piosenki Hubera nastroić. Ale wtór nie szedł jakoś, dopiero furer z kancelaryi wojskowej podtrzymał piosenkę Hubera silnym basem, wybijając takt pięścią na stole.

Piosenka niemiecka odniosła zwycięstwo w szynku u Joška. Jej melodya powszechnie znajoma i treść nader prosta, pomogły jej wiele do zwycięstwa. To też wkrótce zabrzmiał cały szynk tą pieśnią, a jakkolwiek ona tylko z jednej składała się wrotki, śpiewano ją przeszło półgodzinę.

Znajdował się jednak ktoś w tym szynku, kogo pieśń Jaremy mocno zaintrygowała. Była to nader niepozorna figura, jak to z pierwszego wrażenia dało się osądzić. Zakrawała coś na jakiegoś dymisjonowanego urzędnika, albo mandataryusza. Był to człowiek niski, suchy, w nankinowych pluderkach i we fraku granatowym. Wszystko na nim było wytarte, polatane, poplamione. Paznogie duże, czarne i ostro zakończone, nos krogulczy, ruchliwy i oko bure, szeroko otwarte, oznaczały coś drapieżnego -w tym człowieku. Na głowie miał cylinder, dziwnie pomięty i połamany.

Od chwili kiedy Jarema zanucił dumkę ruską, wlepił ten człowieczek w niego przenikliwe oczy swoje i odtąd nie spuścił ich ani na chwilę. A gdy piosenka niemiecka w końcu ustała, zbliżył się do Jaremy i rzekł do niego:

— Wy zapewne z nad Sanu?

Jarema, zagrzany winem, wpatrzył się w nieznanego, okazując mu swoje zdziwienie, że go tak od-

razu poznał, chociaż obaj nigdy w życiu się nie widzieli. Nieznajomy uśmiechnął się i mówił dalej:

— Oho, ho! znam ja was wszystkich... zaraz wam powiem.... Ja was widział na jarmarku.... zaraz, niech sobie przypomnę....

— W Jarosławiu, — wtrącił zniecierpliwiony Jarema.

— A tak, tak, w Jarosławiu! odparł nieznajomy.

Jaremie oczy na wierzch wylazły z zadziwienia, że nieznajomy od razu go poznał i nawet od razu odgadł gdzie go widział.

— Zaraz, powiem wam jeszcze, mówił dalej nieznajomy, powiem wam, z jakiej wsi rodem jesteście.... zaraz.... tak się jedzie... ponad Sanem... jest górka...

— Nowagóra! krzyknął Jarema, któremu już brakło cierpliwości.

— A tak, rychtyk „Nowagóra... a wieś nazywa się... czekajcie... zaraz...“

— Nowawies! podszeptał mu Jarema.

— A prawda, Nowawies! Znam doskonale tę wieś, znam pana i gromadę.

— Wy znacie dziedzica i gromadę? podchwycił szybko Jarema, któremu nagle przysłała na myśl Nastusia jasnowłosa... ale przykusił usta, bo i na cóż zdałoby mu się pytać o Nastkę, kiedy jemu do Nastki tak daleko!...

— O znam dziedzica i gromadę, mówił dalej nieznajomy, bo mam właśnie w Nowejwsi procesik mały.

Jarema wydobył z kieszeni węzelek cwancygiarów, które mu snadź pan Nowomiejski przy oddaleniu ze dworu dał za służbę i kazał przynieść nową flaszkę wina.

— I jakiz to proces mają, odparł Jarema, z żołnierską tłumacząc niemieckie *Sie* na oni.

— Bardzo dobrze że was widzę tutaj, rzekł adwokat processów gromadzkich, dacie mi niejaki wyjaśnienia.

Gromadzie chodzi o łoży „na starym Sanie.“ To było niegdyś gromadzkie, bo nawet zdawna stoi tam szpichlerz gromadzki; ale z czasem przywłaszczyl to sobie dziedzic.

— Pamiętam, pamiętam ten proces, odparł Jarema, ale to dawno skończone. Już ja, gdy byłem pastuchem, nie mogłem tam paść bydła.... Dziedzic wygrał te łoży.

— Co, wygrał? odfuknął pisarz pokątny, wygrał? Gromada nigdy nie przegrywała! Jeśli dziedzic oszukał gromadę, lub kogo przekupił, to gromada apeluje i prosi o odnowienie procesu. Sąd gromadzie nigdy nie odmówi, bo wie, że dziedzic jak chce, to zawsze wygra i gromadę oszuka.

— To prawda, machinalnie zawołał Jarema i zamyslił się.

— Otóż ten proces chciałbym odnowić, mówił dalej mecenas gromadzki, ale cóż tu robić, kiedy w całej Nowejwsi niema jednego człowieka?

— Jakto, w gromadzie niema jednego człowieka? krzyknął Jarema i uderzył rozgrzany winem pięścią o stół.

— Wy wprawdzie mówicie: „Hromada welyki czolowik,“ ale dla adwokata to głupstwo. Adwokat potrzebuje jednego z gromady, a nie całej czeredy, wtrącił z uśmiechem mecenas.

— Ba, jednego; mruknął Jarema i zamyslił się znou.

— Trzeba jakiego gospodarza z powszechnym zaufaniem, któremu całą tę sprawę powierzyła gromada i którego mogłaby wysłać do Wiednia.... a ja bym taką suplikę do cesarza napisał, żeby dziedzicowi aż w pięty poszło!... Oho ho! znam ja tych panów! Jeden podobniuteńki do drugiego! Żeby z gromady dała się wódka wycisnąć, toby niezawodnie kocioł w gorzelnii nią nabił i przez alembik przepuścił!..

— A tak, to prawda! mruzczał machinalnie Jarema, wychylając duszkiem szklanekę wina.

Huber tylko uśmiechnął się i mrugał oczyma.

— Szczęście wielkie dla gromady, mówił dalej mecenas, że panowie sami nie rządzą w kraju. Najprzód takim jak ja żywcem skórę zdarliby z ciała, a potem z gromady. Jużto bardzo źle podzielił Pan Bóg szczęście między ludzi. Jeden ma po same dziurki, a drugi biędzie i robi na niego.

— Co prawda, to prawda! wtrącił Jarema, któremu w winnej atmosferze coraz jaśniej w oczach się robiło.

I Huber wmieszał się teraz do rozmowy. I tak naprzemian mówiono o ciężkich losach gromady i o nadużyciach panów. Mówiono o mandataryuszu, tém drapieżnym zwierzęciu, który szpony swoje wpija aż do kości chłopów, już to dla własnego zysku, już dla dogodzenia interesom pana. A wszystkiemu temu oczywiście winien był dziedzic, bo według nader prostego i rozsądnej dedukcji mecenas, wszystko ostatecznie na dziedzicu się opierało. Pojedyncze błędy i naduży-

(1) Czapki.

cia zebrano w jeden ogólnik i postawiono jako dogmat niezłomny. A nawet i do odleglejszych czasów zapędzili się towarzysze Jaremy, opowiadając że dawniej złe było chłopu, że pan mógł go jak psa zabić — aż dopiero dzisiaj, dzięki Bogu, wszystko to się z rozszerzeniem óswiaty zmieniło.

Jarema słuchał i słuchał, i nie mógł się dosyć nasłuchać. Krzywdy gromadzkie występowały przed jego oczyma w świetle coraz jaskrawszym. Mecenas wspominał mu coś o potrzebie jednego gospodarza w gromadzie, któryby mógł walczyć za krzywdy tej gromady... I pomyślał sobie przytém:

— Hej, mój mocny Boże! gdyby to być takim gospodarzem w Nowejwsi! Tobym... najprzód z Nastką się ożenił... a potem temu mandataryuszowi... po nim dziedzicowi... ale nie, dziedzic mi nic nie zrobił złego....

Widać że Jarema nie był jeszcze dojrzałym, aby zając w gromadzie stanowisko, o którym właśnie myślał. On jeszcze nie kładł interesu gromady na samym przedzie — jeszcze osobistość własna zbyt wiele go zajmowała....

I kiedy tak to i owo w głowie sobie rozbięrał, a coraz więcej świateł migotało mu już przed oczyma i weselek cwancygierów coraz bardziej szczupłał, — otworzyły się drzwi i jakaś niezwykła postać weszła do szynku.

Zrazu zerwało się kilku pijących z ławek, bo przybyły zakrawał na generała. Miał na sobie krótką kurtkę, bogato złotem wyszytą i kołnierzą złoty. Na głowie siedział kapeluszyk stosowany z bujnym pióropuszem. Nawet Huber, co to przecież znał wszystkie szarże i stopnie, zagapił się i wstał ze stolka, aby gościa należycie uszanować. Przybyły prowadził pod ręką jakąś kobietę, która coś wyglądała, jakby niedawno zrzuciła z siebie kaftan i malowanę, a ubrała się w szlafroczek.

I gdy tak całe towarzystwo szynkowe w największym było naprężeniu, jakim stopniem uszanowania ma przybyłych przywitać, a podпиты kapral już za okno czmychać zamysłał, mniemając że to generał, — siedzący między Huberem a mecenasem Jarema pobladł nagle i oczy w słup postawił. Po chwili poczerwieniał aż po włosy, a nim Huber i mecenas odgadli co robić zamysła, przesadził jednym susem stół szeroki i z krzykiem okropnym rzucił się na gościa.

Zamieszanie powstało w szynku, kilka świateł zagasta, a chmury pyłu zasłoniły resztę.

Przez kilka chwil głuche między pijącymi panowało milczenie. Słychać tylko było łoskot walących pięści i tarzanie się po podłodze. Wszyscy ogłupieli z przestachu i zadziwienia i nie mogli sobie tego dziwnego zdarzenia wytłumaczyć.

Huber, najwięcej przy tej przygodzie jako towarzysz Jaremy interesowany, najpierwszy też odzyskał przytomność, i rozumem swoim, którym się kierował przez całą karierę wojskową, przewąchał niebezpieczeństwo; chwycił więc za czapkę i drapnął przez najbliższe okno. Za nim posunął obrońca ustaw, chociaż według paragrafów najmniejszego nie było dla niego niebezpieczeństwa. Za przykładem tych dwóch najbliższych Jaremie, poszli i inni, a gdy się w izbie nieco przestroniej zrobiło i pył z ziemi miał się gdzie rozejść, ujrzał z wielkim przestachem ślepy Joško, że Jarema trzymał kolano na piersi gościa, który leżał już prawie bez władzy — a towarzyski tego gościa już w izbie nie było.

Jarema wydobyl bagnet, a jasny blask żelaza powalił z nóg ślepego Joška....

W tej chwili otworzyły się drzwi, a do izby wszedł najprzód jakiś jegomość w cywilnym ubiorze, który w oczach Jaremy był podobnuteńki do mandataryusza z Nowejwsi. Za tym jegomością weszło czterech żołnierzy, trzymając broni jakby do ataku. Był to patrol.

— Oho ho! krzyknął Jarema, wywijając bagnetem, a w rozgrzanej jego głowie w dziwną loikę mieszało się to wszystko, co przed chwilą słyszał od swoich towarzyszy — oho ho! już dosyć tego panie sędzio! Już mnie w rekruty nie oddacie razem z dziedzicem! A czekajcie no! Umiem ja już czytać i pisać — niechno kiedy przyjdę do gromady, zaleję ja wam sadła za skórę!... Tak tak, panie Garbulewicz!...

Co się dalej z Jarema działo, tego sobie później nie mógł dobrze przypomnieć, bo gdy oczy otworzył, był już w sztokhauzie.

Powoli zaczął sobie porządkować wrażenia dnia wczorajszego. Pamiętał że w tym bogatym, od złota kapiącym ubiorze był Szymek, jego wróg zacięty, że ową kobietą co z nim przyszła była Nastka jasnowłosa... Więcej nie mógł sobie dobrze na razie przypomnieć, a nawet nie był pewny, czy to w istocie był Szymek, czy tylko widmo które go nieustannie straszło....

Za kilka tygodni oświadczył mu audytor, że się upił i w pijaństwie omal zabójstwa nie popełnił na

strzelcu od przejeżdżającego generała. A gdy Jarema na usprawiedliwienie swoje zaczął mu opowiadać historią o Szymku i Nastce jasnowłosej, i co Szymek owęj pamiętnej nocy z nim chciał zrobić, a co mu się nie udało, i gdy także o mandataryuszu coś wspominał, audytor rozśmiał się z Jaremy, mówiąc że to wszystko tak mu się tylko wydało, jako człowiekowi pijanemu, i że się strzelec generała wcale się Szymkiem nie nazywa, ani niema żadnej Nastki przy sobie.

Jarema zgłupiał i z rozdziawioną gębą słuchał wyroku, skazującego go na areszt z postem w sztokhauzie i na tak zwane „krummgeschlossen.“ Wreszcie uspokoił się i pomyślał sobie: Jak tylko wyjdę z sztokhauzu, to przekonam audytora, że miałem słusność.

Ale audytor dodał w końcu wyroku, że prócz tej kary, jako człowiek niespokojny, odesłany będzie do regimentu który stał we Włoszech.

Jaremie lzy w oczach stanęły. Pierwszy raz w życiu uczuł, co to jest ziemia ojczysta!

A koło serca było mu jakoś tak smutno, jak owego wieczora w szynku, gdy sobie zaśpiewał:

....Sediaczy doma dumaju  
Szo przytela ne maju!  
Żal serciu mojomu!  
Tak żyty samomu!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

7 maja.

Z wielkiej chmury mały deszcz bywa. Zaledwie Kommodor Wilkes uprowadził statek „Peterhoff“, a już rozgorączkowana wyobraźnia dziennikarzy dostrzegła zbrojne hufce Yankessów wkraczające do Kanady, podczas gdy nowożytny panczerze dumnego Albionu zapoznać miały ład nowy z doniosłością i mocą kul armstrongowych. Tymczasem cała ta sprawa, zgodnie z dwukrotnym przewidywaniem naszym, zakończy się szerokim wylewem..... strumieni farby drukarskiej. Ostatnie wiadomości z Londynu i Nowego Yorku przekonywają nas o pokojowych usiłowaniach, jak to widać z przyjaźniejszych stosunków p. Adams z rządem angielskim, tudzież z objaśnieniami danych w parlamencie londyńskim co do postawy rządu amerykańskiego. Rzecz zakończy się wydaniem statku i pomimo groźb prezydenta Lincolna, stosunki dwóch mocarstw w niczem nadwężone nie zostaną. Niektóre dzienniki wszakże twierdzą, że gabinet angielski miał pewne obawy aby do wojny nie przyszło, i że w tym celu zawiązał nawet negocjacje z dworem tuileryjskim, i że Francja zobowiązała się dopomagać Anglii zbrojnie w walce z Ameryką. Nie ręczymy za autentyczność tej pogłoski. Morning Post twierdzi, że podróż księcia Walii z małżonką do Francji jest faktem zmyślnym. Przeciw temu występuje France z d. 4 b. m., utrzymując, że nie w programie podróży księcia zmienionem nie zostało, i że dostojni goście spodziewani są w Fontainebleau w połowie bieżącego miesiąca.

Monitor francuzki potwierdza odebrane w zeszłym tygodniu wiadomości o działaniach wojennych pod Pueblą. Urzędowy raport zawiadamia, że Puebla otoczona została w d. 18 marca przez wojska francuzkie, w skutek czego nastąpiło już kilka świetnych dla armii francuzkiej potyczek. Według depezy z Londynu z d. 2 maja, Francuzi przez kilka dni bombardowali miasto, przyczem dwa razy odparci zostali, ostatecznie wszakże opanowali wszystkie forty zewnętrzne. Główna kwatery generała Forey ma być w San Juan. Garnizon Puebli wynosi około 18 tysięcy, ale ludność przychylną jest interwencji francuzkiej. Francuzi przecięli komunikacje pomiędzy Ortegą i Comonfortem i zniszczyli wszystkie wodociągi i linie telegraficzne. Ciało prawodawcze przedłużyło swe posiedzenia do d. 7 maja. Korrespondencye z Paryża zapowiadają, że nazajutrz po ukończeniu posiedzeń odczytany będzie dekret rozwiązujący izbę. Wybory do przyszłego zgromadzenia odbędą się stanowczo w końcu maja lub w pierwszych dniach czerwca. Ruch wyborczy, mianowicie zaś zabiegi stronnictwa opozycyjnego, wywołały pewne środki ostrożności ze strony administracji. Po kilku ostrzeżeniach danych dziennikom i uwadze Monitora, że wyrażenie „kandydat niezawisły“ jest podstępem i ubliżającym dla kandydatów rządowych i jako takie dozwolonem być dłużej nie może, nastąpiła nowa nota dziennika urzędowego. Monitor przypomina, że prawo zabrania stowarzyszeń osób więcej niż 20 bez upoważnienia rządu, i że dzienniki ogłaszające manifesty wyborcze w duchu przeciwnym, narażają się na prawne ich zamknięcie.

W kwestyi włoskiej, a raczej rzymskiej i weneckiej, żadna zmiana nie zaszła. France z d. 3 maja dono-

si, że król Wiktor Emanuel w objęzdzie prowincyj niejednokrotnie przemawiał w duchu jedności Włoch. Italia twierdzi, że król Wiktor zapowiedział iż trzymać się będzie programu jedności, że obiecywał Włochom Rzym i Wenecją, pod warunkiem wszakże aby w zgodzie żyli i trzymali się na pogotowiu, dla skorzystania ze stanowczej chwili. O zmianie ministeryalnej i prezesostwie barona Ricasoli dotąd nie pewnego, jakkolwiek pogłoski w tym względzie nie ustają; od śmierci hr. Cavoura, baron Ricasoli jest istotnie najznakomitszą osobistością polityczną we Włoszech. Reformy w Rzymie odłożone ad calendas graecas. Mówią że ambassador francuzki przypomniał gabinetowi rzymskiemu dane obietnice, ale otrzymać miał odpowiedź dwuznaczną i niejasną. Według wiadomości z Turynu, tegoż losu doznać miał zapowiedziany dla Wenecji statut. Kardynał Antonelli dotąd utrzymuje się przy władzy.

Kwestya następstwa tronu greckiego rozstrzygniętą być ma ostatecznie na konferencyi mocarstw w Londynie. France zapewniała, że konferencya zbierze się w dniu 23 b. m. Tymczasem inne dzienniki, mianowicie zaś Schles. Ztg. utrzymuje, że zachodzą pewne trudności ze strony króla duńskiego, który nie mógł dotąd porozumieć się ostatecznie z księciem Chrystyanem. Zresztą protestacya dworu bawarskiego i urządzenie majątkowych stosunków króla Ottona, niemają w tej mierze odegrają rolę. Pogłoski o nadzwyczajnem uzbrajaniu się Danii, z powodu not Austrii i Pruss, nie sprawdzają się. Związek niemiecki coraz silniej oświadcza się przeciw dekretom króla Fryderyka.

Sułtan wyładował w Konstantynopolu w d. 4 maja, wśród huku dział i gęstego szpalery ministrów i dygnitarzy tureckich. Po nabożeństwie w meczecie, padyszach udał się do swego pałacu, gdzie go powitało ciało dyplomatyczne. Wieczorem miasto było uilluminowane.

(Constitut. Schles. Ztg. Ind. Bel. Jour. des Deb. France).

**Ostatnie depeze.** Paryż 5 maja. Z Vera-Cruz donoszą: generał Bertier rozbił Comonforta, spieszącego na odsiecz Puebli. Ortega oświadczył gotowość kapitulowania. Generał Forey zażądał bezwarunkowego poddania się na łaskę i niełaskę. Ortega chciał przedrzeć się przez linie francuzkie, ale Bertier wpędził go napowrót do Puebli.

Paryż 5 maja. Monitor powiada że wiadomość, jakoby księżę Walii przybyć miał do Fontainebleau, jest fałszywą.

Londyn 2 maja. Piszą z New-Yorku: pięć kanonierek i trzy statki transportowe zdołały przejść baterie vicksburgskie. Separatysty porzucili pozycje pod Waszyngtonem w Karolinie północnej. Kanonierki federalne zdobyły na separatystach sześć dział i 200 jeńców. Flota admirała Dupont stoi wciąż pod Charleston.

Turyn 4 maja. Rugg. Settima, prezes senatu, dawny prezes rządu w Sycylii w 1848 r., umarł na wyspie Malcie. Rząd włoski wysłał fregatę, dla przewiezienia zwłok do Palermo.

Berlin 5 maja. Stronnictwo postępowe ukończyło obrady nad statutem wojskowym. Przyjęta poprawka brzmi następnie: Aż do wydania praw wojsko utrzymywane być powinno na stopie pokoju ustanowionej w d. 1 kwietnia 1859 r., to jest nie przechodzić liczby 453,000 ludzi. Paragraf 5, dotyczący powołania pod broń 60,000 żołnierzy, wykreślony został. Inne poprawki odrzucono.

### KORRESPONDENCYE OD REDAKCYI.

Pana E. K. w Poznaniu prosimy o śpieszne nadesłanie artykułu o ziemstwie, tudzież rysunku kościoła farnego.

Pani K. K. w Stucku. Tygodnik Ilustrowany z kwartału 1 r. b. zaległ zapewne z powodu późnego nadejścia opłaty prenumeracyjnej. Warszawska ekspedycja gazet wysłała go d. 14. kwietnia.

P. Mścistawowi K. w Wilnie. Przyjmujemy chętnie i artykuły bez rycin, których dołączenia nie każda zresztą praca literacka wymaga. Zależy to od przedmiotu obranego.

Pani J. P. w Żytomierzu. Za otrzymany rysunek uprzejmie dziękujemy. Zrobimy z niego użytek w czasie późniejszym.

Pani E. W. w Lublinie. Nie wszystkim co się cisną do ołtarza poezyi, danem jest zostać jej ofiarnikiem. Dobra chęć tutaj nie wystarczy — trzeba namaszczenia z góry.

Panu J. P. w Niemirowie. Nadesłana korrespondencya, dla wielu powodów, drukowana być nie może.

P. P. Alfredowi z Myślini i Wł. B. Jeżeli wtłoczenie pewnej liczby ogólników w rymy i średniówki, uważacie panowie za poezją, to miejcież przynajmniej na względzie, że publiczność tego zdania żadną miarą podzielać nie może.

### DUMANIE nad różą.

Róża ku ziemi,  
Liściami drzącemi,  
Kwiatu koronę smutnie nakłania,  
Łza ją krysztali,  
Promień ją pali,

Róża schyłona smutnie się stania  
W liściu jęj rosa,  
W rosie niebios  
Świecą odbite w szkarłat zarania.

Łzy ani jednej,  
Jaką tam płaczą anieli w niebie;  
Bo my znękani,  
Myślą złamani  
Płaczem na smutnym uczuć pogrzebie.

pruskim stanęła przy tym kościele dzwonnica, a w r. 1832 na środku dachu mała sygnaturka na wyniesionej wieżyczce, na wierzchu której bocian usiał sobie teraz gniazdo.

Pod względem budowy różni się ona cokolwiek od innych dunińskich kościołów, co dowodzi że do ostatnich tego możnowładcy fundacyj należy; nie ma bowiem, jak prawie wszędzie jego świątynie, zaokrąglonego presbiterium, ale zakończona jest ścianą płaską, a rysunek okien i otworów szczytowych ma taki sam, jak w kościołach w drugiej połowie XII stulecia dla cystersów wznoszonych. W każdym jednak razie jest wielce dawnym zabytkiem i na szczególną zasługuje uwagę. Boczne drzwi kościoła, acz grubym dłuitem z granitu wykonane, są przecież wiernym obrazem wieku w którym powstały. Wewnątrz nad częścią kapłańską i zakrystą sklepienie jest beczkowe, nad nawą sufit z tarcic. Wszystkie nowsze ołtarze nieosobliwej roboty; nie mają też w sobie nic odznaczającego; obraz tylko Bogarodzicy w wielkim ołtarzu do niezgorszych malowideł należy. Kościół nosi tytuł św. Piotra i Pawła; pokryty jest częścią dachówką włoską, częścią zwyczajną karpiołką. Na cmentarzu



KOŚCIÓŁ W STARÉM MIEŚCIE POD KONINEM. (Rysował z natury Podbielski.)

Jako to kwiecie  
Smutne, są w świecie  
Czoła ozdoby łaski pro-  
[mieniem,  
Człowiek w zadumie  
Śnić tylko umie,  
Skroń ma schyloną serca  
[cierpieniem.  
Tylko wśród ciszy,  
W sercu on słyszy  
Tędy dźwięczące szczę-  
[ścia wspomnieniem.

Światła królowne,  
Mary powiewne  
Zmyślą się plotą, w szczę-  
[ścia tęsknocie,  
Z niebios marami  
Smutno za łzami,  
Drogich pamiątek złocą  
[się krocie.  
Pieśnią rozwianą,  
Wonią różaną,  
Mówiąc o blizkim szczę-  
[ścia powrocie.

Szczęście nie wraca,  
Próżna więc praca,  
Próżna tęsknota w żalu  
[po wiosnie,  
Miłość, uczucie  
W pieśni jest nucie,  
Ale ze szczęściem w nie-  
[bie gdzieś rośnie.  
Tylko anieli  
Miłość pojęli,  
Tylko anieli płaczą ra-  
[dośnie.

Często my płaczem  
Sercem tulaczem,  
Jednak nie znajdźmy, nigdy dla siebie  
W doli tej biednej

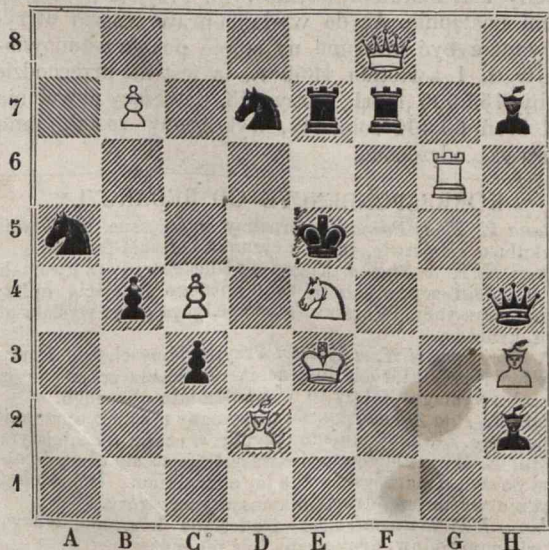
**SZACHY.**

**ZADANIE CLIV.**

(J. B. z Grodna).

Białe zaczynają i dają mata za szóstym posunięciem, koniecznie laurem, (którym chcą).

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 153.

Białe.

Czarne.

- 1) B 2-B 4 † . . . 1) D 2-B 4 biorą.
- 2) F 6-A 6 † . . . 2) C 7-A 6 biorą.
- 3) E 7-D 8 † . . . 3) A 6-C 7.
- 4) D 8-C 7 biorą † i mat.

W gorzkiej niedoli  
Serce zaboli,  
Kiedy znękany duch się rozjęczy  
Nutą swą znaną,  
W niebie słyszaną,  
Graną na strunach z srebra i tęczy,  
Wtedy mu skronie  
W cierni koronie  
Czysty niebieski promień uwieńczy.

Stwórca wszech rzeczy,  
Sędzia człowieczy  
Zsyła na duch ten promień świetlany,  
Strojny w błękity,  
W łzach on odbity,  
Jako to niebo w rosie różanej,  
I wielkim darem,  
Nieba ciężarem,  
Duch się człowieka chyli znękany.

Adela Hanicka.

**KOŚCIÓŁ W STARÉM MIEŚCIE**

**POD KONINEM.**

Do połowy XIV wieku na tém miejscu stało miasto Konin, które Kazmirz wielki przeniósł tam gdzie teraz jest położone, a opuszczoną osadę odtąd Starém Miastem zwać poczęto. Pamiątką owych czasów, kiedy wspomniane miasto tu się wznosiło, został dotąd nieknięty kościół, którego rysunek obecnie podajemy. Był on pierwotnie parafialnym i dopiero w końcu XV stulecia przyłączono go jako filialny do kościoła parafialnego w terazniejszym mieście Koninie. Założył go zaś w r. 1444 sławny Piotr Dunin, wielkorządca wielkopolski, który jak wiadomo rządził krajem za Bolesława Krzywoustego i miał 77 kościołów w Polsce swoim własnym kosztem wystawić.

Starożytna i ciekawa ta świątynia, cała z ciosu, ma pierwotne mury dotąd w niezmiennej dochowane całości; w późniejszych tylko czasach wzmocniono takowe jedną przyporą i zbyt niski dach przez nadmurowanie ścian szczytowych podwyższono. Pod rządem

wykopują się czasem urny z popiołami, zabytki czasów pogańskich, co dowodzi iż jeszcze przed przyjęciem wiary chrześcijańskiej w naszym kraju już miejsce to na ten cel służyło i było zamieszkałe.

**REBUS.**



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 188.

Tak to skąpiec ję, że u niego zawsze po obiedzie.